

# PAUza

Akademicka



Rok XVII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności Nr 674

Kraków, 1 lutego 2024

[pau.krakow.pl](http://pau.krakow.pl)

[pau.krakow.pl](http://pau.krakow.pl)

Sto lat temu, 3 lutego 1924 roku, zmarł Woodrow Wilson, 28. prezydent Stanów Zjednoczonych, autor sławnego orędzia, którego 13 punkt mówił o niepodległej Polsce. Z tej okazji zamieszczamy krótki tekst prof. Waldemara Łazugi, przypominający sylwetkę Wilsona i jego czasy.

\* \* \*

REDAKCJA

## Prezydent Wilson a Polacy

WALDEMAR ŁAZUGA

Woodrow Wilson nawet biografom znającym go od podszewki sprawia pewien kłopot. Był pierwszym prezydentem, który na wielką skalę zerwał z amerykańską tradycją izolacjonizmu. I pierwszym, za którego urzędowania wojska amerykańskie przekroczyły Atlantyk i wylądowały w Europie. Idealista, moralizator i... pragmatyk, twardo broniący interesów amerykańskich na Dominikanie i Haiti, niewykluczający amerykańskiej interwencji wojskowej w Rosji przeprowadzonej od strony Syberii. Syn pastora prezbiteriańskiego i córki pastora. Uduchowiony. Religijny. Wrażliwy. Z wykształcenia prawnik. Profesor kilku amerykańskich uczelni. Od 1902 roku rektor. Potem pochłonięty polityką działacz Partii Demokratycznej. Gubernator stanu New Jersey. Kandydat na prezydenta. Wreszcie – od marca 1913 roku – 28. prezydent USA, który znajdzie wielu naśladowców, a nawet stworzy filozofię polityczną, zwaną wilsonizmem, która stanie się istotną częścią myślenia o stosunkach międzynarodowych. O świecie polityki w ogóle. Dla niektórych rodzajem socjotechniki, która nie umiera nigdy.

W istocie chodzi o kilka myśli. Zasady idą przed interesami, wolność i demokracja przed dążeniem do potęgi czy dobrobytu. „Sprawiedliwość jest cenniejsza niż pokój” – jak w 1917 roku tłumaczył przystąpienie USA do wojny. Wolność dla małych narodów. „Dobro świata” – celem polityki. Ameryka ma apostolską misję. Państwom narodowym powinna zapewnić bezpieczny byt, demokracji – obrońców.

Niewątpliwie W. Wilson świat zaskoczył.

Niewykluczone, że Europę bardziej nawet niż Amerykę. Bo tu państw narodowych bez mniejszości etnicznych właściwie nie było. Co w takim razie z tymi mniejszościami zrobić? Nawet w rozwiniętych europejskich państwach z trudem wyobrażano sobie funkcjonowanie dwóch narodów pod jedną demokratyczną konstytucją. Na wschodzie zaś można było skutecznie powoływać się na sentymenty i resentymenty narodowe, ale dla demokracji nic dobrego z tego nie wynikało. Wynikała dyktatura. Odwrócony Faust. Naród okazywał się wielką niewiadomą.

Polacy, pozbawieni własnego państwa, na wilsonizm byli czuli. Mieli imperialną przeszłość, silną literaturę i kulturę, dwa uniwersytety na przełomie wieków i wykształcone elity. Wilson w zasadzie potwierdzał ich dążenia, ale – zaznaczymy – od początku raczej w teorii niż w praktyce. W praktyce Stany Zjednoczone długo starały się nie drażnić żadnego z trzech zaborców Polski. Gdy w grudniu 1916 roku państwa centralne wystąpiły z propozycją wszczęcia rokowań pokojowych, Wilson zaproponował wymianę zdań na ten temat. Francja wspominała wówczas o przywróceniu Belgii, Serbii i Czarnogóry, ale w sprawie Polski odesłała go do proklamacji cara Mikołaja II. I zamknęła mu usta.

Z Niemcami było podobnie. W styczniu 1917 roku Wilson w orędziu do senatu wystąpił z programem „pokoju bez zwycięstwa” i wspomniał, że po wojnie powinna powstać „zjednoczona, niezawisła i autonomiczna Polska”. Sformułowanie wzięt z odezw cara Mikołaja II, ale po protestach nad Sprewą ambasador USA w Berlinie wyjaśnił, że mówiąc o Polsce, prezydent USA miał na myśli „Polskę utworzoną przez Niemcy i Austrię”. Czyli odesłał Polaków do aktu dwóch cesarzy z 5 listopada 1916 roku.

Galicyska elita postawiła wtedy pytanie: „Kto jest wariatem. My czy Ententa?”. My „Austriacy” czy oni, „Francuzi”? Lub – tłumacząc dalej – konserwatyści krakowscy, ludowcy i socjaliści stawiający na Habsburgów czy endecja stawiająca najpierw na Rosję, a teraz na koalicję? Michał Bobrzyński, architekt austro-polskiego rozwiązania, minister austriacki czy Roman Dmowski, przywódca endecji?

Inszenizatorem „piłsudczyzny” miał być Bobrzyński. Leo wymyślić nazwę: Legiony. Dmowskiemu wypomniano, że jeszcze niedawno „przed carem merdał ogonem”. Dodajmy, że dla Piłsudskiego i Bobrzyńskiego przyszła Polska powinna nawiązywać do przedrozbiorowej. Być wielonarodowościowa. Z mniejszościami narodowymi i z ludnością żydowską, zasiedlającą zwłaszcza obszary wschodnie dawnej Rzeczypospolitej.

Jeśli Piłsudski – jak zanotowano – z nadzieją patrzył Wilsonowi w oczy, to dlatego że padło słowo Polska, Rosja się pograżała, Niemcy nie zwyciężały, a Austria słabła. Należało się „przeorientować” i żadnej szansy nie skreślać.

W rezultacie odmówił złożenia przysięgi na wierność Niemcom i nowy 1918 rok powitał w więzieniu w Magdeburgu. Konserwatyści tymczasem nadal trwali przy Austrii, a nawet „gwałtem” próbowali ją ratować. W Paryżu natomiast działał Dmowski, który – pisał Juliusz Zdanowski – rozumiał, że na samej wilsonowskiej „miłości związków ludów” Polski się nie stworzy. Że na wilsonizmie można wprawdzie wiele zyskać, ale i sporo stracić.

Ostatecznie co innego mówiono, a co innego robiono. Po cichu niemal wszyscy – od prawa do lewa – zgadzali się, że wilsonizm może zgnieść i unieruchomić całą Europę. Poprzerywać ciągi gospodarcze, „poprzecinać wielowiekowe procesy”. Że demokracja zasadniczo jest „discutable”. A idea „communi consensu” to frazes. Plebiscyty zaś to gra. Wielu Słoweńców wybierze Austrię. Wielu Polaków – Niemcy. W Wielkopolsce ogarniętej powstaniem może być podobnie. W Szamotułach czy Lesznie wyniki mogły być „nie po naszej myśli”. Sytuacja gospodarcza była trudna. Łęki ludności powszechnie. Czy młode państwo polskie się utrzyma?! Czy nie lepiej znaleźć miejsce w starych strukturach byłych imperiów? Powalczyć o autonomię? Sprzyjać partykularyzmowi. Nie ulega wątpliwości, że dyplomacja francuska dobrze знаła te nadwarciańskie rozterki



► (bo u siebie miała podobne) i dlatego po cichu wspierała politykę faktów dokonanych. Co Polacy w powstaniu wezmą – to ich.

Do wilsonizmu bowiem nad Sekwaną podchodzono z oporami. Z Polski, Czechosłowacji i Rumunii Francja chciała stworzyć silny antyniemiecki wał. Na szczęście wilsonizm nie wchodził w szczególności. W geografii Europy orientował się słabo. I nie zdawał sobie sprawy, jak silna była tu obawa przed kolejną wojną.

Podczas jednej z rozmów z Wilsonem Dmowski uzasadniał, dlaczego Gdańsk należy ściślej strategicznie związać z Polską. Prezydent USA słuchał go ze zdziwieniem. Dmowski – jego zdaniem – nie brał pod uwagę, że „przecież wojny na świecie już więcej nie będzie”.

Choć był pomysł, żeby Agenora hrabiego Gołuchowskiego, byłego ministra spraw zagranicznych Austro-Węgier, „wypro-

mować” na reprezentanta Polski na konferencji w Paryżu, konserwatyści krakowscy o Wilsonie wypowiadali się najostrzej. Dmowski i Piłsudski wilsonizm traktowali instrumentalnie, choć ich wizje Polski – i mniejszości narodowych – kompletnie się rozmięły.

„Wilsonistami” z ideałów byli Ignacy Jan Paderewski i Gabriel Narutowicz. Wielki artysta, który został premierem rządu RP, i profesor Politechniki w Zurychu, który został pierwszym prezydentem II Rzeczypospolitej popartym przez mniejszości narodowe i z tego powodu zamordowanym przez szaleńca.

Do końca II Rzeczypospolitej problemu mniejszości nie rozwiązano.

W 1919 roku Wilson otrzymał pokojową Nagrodę Nobla. Prezydentem był do 4 marca 1921 roku.

WALDEMAR ŁAZUGA

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza

## ...manier

Z wczesnej młodości, właściwie z dzieciństwa, pamiętam określenie: „... wyraża się nieparlamentarnie”. Jednoznacznie negatywne, obciążające tego, kogo dotyczyło. Nie wiedząc, co to parlament, kto i jak się tam wyraża, wiedziano powszechnie, że tam nie używa się słów wulgarnych ani obraźliwych. Rozumiano też, że gdyby coś takiego się zdarzyło (zdarzało się), sprawca byłby jakoś ukarany, a z pewnością napiętnowany.

W sejmie ostatniej kadencji, na sali plenarnej, w miejscu zewsząd widocznym, poseł wykonał ordynarny gest, udostępniany odtąd przez telewizję kilka razy dziennie (o tym dalej). Nie wyraził się nieparlamentarnie, ale zachował się, jak nie godzi się zachowywać nigdzie i nigdy, jeśli jest się kulturalnym człowiekiem jakiegokolwiek profesji i statusu. Myślę, że dla sporej części oglądających to zdarzenie było ono jednak zaskoczeniem. Wszyscy wtedy wiedzieli o prawomocnym skazaniu posła za przestępstwa urzędnicze, nie utożsamiamy jednak automatycznie tego rodzaju win ze złymi manierami.

Nic dziwnego, że wobec poważnej afery z bohaterami pełniącymi wysokie funkcje państwowe „gest Kozakiewicza” w sali sejmowej jest tylko elementem kolejnych przekazów medialnych. Zastanawiam się, czy powtarzanie go do znudzenia ma, w opinii nadawców, wywołać u odbiorców zgorszenie i oburzenie, uzupełnić o wyrazisty rys sylwetkę skazanego, może tylko „ubarwić” przekaz. Nie darmo jednak nasuwa się tu zwrot: „do znudzenia”, bo spowszedniało już chyba to niecodzienne zdarzenie w nieoczekiwanym miejscu. I to niedobrze. Nie powinniśmy się przyzwyczaić do tego, że najbardziej nieoczekiwane, a choćby mało oczekiwane, rzeczy dzieją się także w sejmie, nad czym wciąż jeszcze ubolewamy.

Myśląc o tej historii, przypomniałam sobie, że do sejmu przychodzą czasem uczniowie, żeby się zetknąć z majestatem Rzeczypospolitej, zobaczyć tych, którzy stanowią obowiązujące wszystkich prawo, posłuchać, jak o tym mówią, przekonując się wzajemnie. Dygresja: pewien znajomy licealista opowiadał mi kiedyś z przejęciem o takiej wizycie i stwierdził, że ci ludzie na sali plenarnej są „mądrzy jeden w jednego”. Budujący młodzieńczy entuzjazm, wielkie zobowiązujące zaufanie. Przypomniało mi własne przeżywanie obrad sejmu po cenzurze 1989 roku. Słuchałam ich, jak długo trwały, zadziwiająco się treścią wypowiedzi – dotyczących spraw najważniejszych, o których można było, po raz pierwszy od dawna, głośno mówić publicznie. Podziwiałam też formę wypowiedzi u osób, które wcześniej nie miały okazji do doskonalenia oratorskich umiejętności.

Wulgarny gest tego zaufania nie zniweczy, chyba nawet nie nadzarpanie, ale oszpeca wizerunek, którego trzeba pilnować. W gorące naprawiania państwa po ośmioletnich rządach PiS nie ma czasu na skupianie się na manierach, nawet tych, jakie powinny obowiązywać tam, gdzie rozwiązuje się najważniejsze dla nas

wszystkich sprawy. Myślę jednak, że nieprzystojne zachowania powinny i mogą być kwitowane, choćby przelotnie, dezaprobatą, a więc oceną, na jaką zasługują, co mogłoby nieco powstrzymać proces językowej pauperyzacji w wyróżnionym zgromadzeniu Polaków.

Opuszczając sejm, jeszcze parę słów o manierach. Z tym pojęciem, odnoszonym przede wszystkim do uprzejmości, kurtuazji, należy różnym osobom z różnych względów uwagi, wiąże się ogólnie rozumiana kultura wypowiedziania się i kultura rozmowy.

Wiadomo z badań, jak wpływają na nasze rozmawianie Internet i telefon komórkowy. W tej sytuacji niektórzy się zastanawiają, czy warto zabiegać o kształt prowadzonych rozmów, jakich jest mniej i są krótsze. Myślę, że tak, i przypominam, że nie tak odległy jest czas, gdy dysputy w rozmaitych gronach sprawiały ludziom przyjemność. Nie zgadzam się z opinią, jakobyśmy dzisiaj komunikowali się słownie tylko w sprawach najpospolitszych, wymagających szybkiego ustalenia. Proszę mnie nie posądzać o mrzonki związane z polonistycznym wykształceniem ani o lekceważenie aktualnej rzeczywistości SMS-ów. Rozmawiamy w gronie rodzinnym, z towarzyszami pracy, z przyjaciółmi. Warto, tak właśnie to formułuję, warto rozmawiać „starannie”. To znaczy, że warto dobrać słowa o znaczeniu najbliższym naszym myślom, które chcemy przekazać. Warto wyszukiwać te pojęcia, które obejmują najwięcej tego, czym chcemy się podzielić. Trzeba rozróżniać pojęcia bliskoznaczne – jakże często używamy zamiennie przymiotników: psychiczny/psychologiczny (proszę się nad tym zastanowić). Jeśli mówię, że warto rozmawiać, troszcząc się o wypowiedziane słowa i zdania, to dlatego, że ta troska owocuje lepszym zrozumieniem przez naszych rozmówców ze wszystkimi tego pozytywnymi skutkami, jakie nietrudno sobie uprzytomnić.

Od utyskiwań na sejmowe uchybienia manierom przeszłam do porozumień codziennych w gronach bliskich sobie osób, tzn. takich, które mniej więcej orientują się we wzajemnych zapatrywaniach, upodobaniach i skłonnościach, co czasami sprzyja uproszczonemu ich wypowiedzianiu w przekonaniu, że zostaną odebrane zgodnie z intencją.

Czas liczony od 15 października ubiegłego roku przyniesie nam niejedną naukę, poza tymi już udzielonymi. Nie jest chyba zaniebdywalnym marginesem ta związana z manierami prezentowanymi na najgłodniejszym forum. Dlatego, w pierwszym rzędzie, że to forum jest wzorcowe dla ogółu, ale co ważniejsze, dlatego że prostackie maniere nierzadko utrudniają porozumienie, kierując uwagę na odpieranie wulgarnych pomówień albo, co gorsza, ich odważajmianie, wynaturzając debatę.

Zbierając powyższe spostrzeżenia, proponuję trochę uwagi na maniere – w mówieniu, gestach, codziennym i oficjalnym zachowaniu. Nie uszczupli to uwagi dla spraw najważniejszych, a pomoże o nich rozmawiać i takie sprawy rozwiązywać.

MAGDALENA BAJER

# Ideologie „dziedziczenia prestiżu” i „punktozy” oraz nowa idea ewaluacji czasopism

Z badań naukoznawczych wiadomo, że ministerialne idee „dziedziczenia prestiżu” i „punktozy” mają charakter pseudonaukowy. Powód jest jasny: nie istnieje „zasada dziedziczenia prestiżu”, bowiem nawet w tzw. najlepszych czasopismach czy wydawnictwach mogą ukazywać się przeciętne publikacje, a wybitne publikacje mogą być pisane w jakimkolwiek języku i ukazywać się w nawet najmniej znanych czasopismach czy wydawnictwach. Z tego też powodu konwencjonalne ministerialne punkty [5, 20, 40, 70, 100, 140, 200], będące miarą tej rzekomej zasady, dziedziczą ten pseudonaukowy charakter. Innymi słowy, wbrew zapewnieniom zwolenników „zasady dziedziczenia prestiżu”, nie ma rzetelnej miary liczbowej jakości publikacji naukowej: nie mierzą tego ani żadne wskaźniki bibliometryczne, ani ministerialne punkty<sup>1</sup>.

Jak przyznawano te ministerialne punkty? Tajemnicą poliszynela jest fakt, iż w wielu przypadkach przyznawali je utytułowani ludzie (naukowcy lub politycy) niemający... nawet elementarnego pojęcia o ocenianych czasopismach. Działo się tak wtedy, gdy w gronie ekspertów (naukowców lub polityków) oceniających czasopisma nie było przedstawicieli wielu niszowych dyscyplin czy specjalności naukowych lub nie mieli oni prawa głosu<sup>2</sup>. Skutkiem zastosowania takiej procedury było i jest systemowe zaniżenie punktacji czasopism niszowych dyscyplin, zgodnie z potocznym poglądem, że „to, co nam nieznane, nie może być przecież wartościowe”.

Co ważne, efekt ten dotyczy list ministerialnych czasopism wygenerowanych zarówno za czasów ministra dr. Gowina, jak i ministra dr. hab. Czarnka. Była jednak istotna różnica: za czasów ministra Czarnka wielu czasopismom podwyższono punktację, ale zrobiono to w niejednakowy sposób, a w przypadku części czasopism zrobiono to bez żadnych merytorycznych, naukowych powodów i z pogwałceniem elementarnych zasad sprawiedliwości (znowu przegrały też dyscypliny niszowe).

Z przedstawionych powyżej powodów uważam, że powrót do idei listy czasopism ministra Gowina czy korygowania listy czasopism ministra Czarnka, jaki głosił *explicitie* Emanuel Kulczycki (*Minister Czarnek rozłożył punktację czasopism na łopatki. Ale nie tylko on jest winny*, „Gazeta Wyborcza”, 19.11.23), a podzielał ten po-

gład *implicitie* także Błażej Skoczeń (*Ewaluacja działalności naukowej*, „PAUza Akademicka” 667, ss. 2–3) oraz *explicitie* Marek Kosmulski (*Zmienimy system punktacji za publikacje naukowe*, „PAUza Akademicka” 671, s. 2), jest całkowicie chybiony, gdyż będzie służył potęgowaniu patologii punktozy i dalszemu prześladowaniu dyscyplin niszowych.

Natomiast w pełni zgadzam się z Maciejem Żyliczem (*Dziedziczenie prestiżu*, „PAUza Akademicka” 667, s. 4), który głosi konieczność porzucenia punktozy w ewaluacji działalności naukowej indywidualnych pracowników i powrócenia do oceny merytorycznej treści osiągnięć naukowych. Takie stanowisko nie jest ani odosobnione, ani nowe: głoszą je dobitnie od 16 maja 2013 r. sygnatariusze *Declaration on Research Assessment (DORA)*<sup>3</sup> i powołanej w styczniu 2022 r. międzynarodowej Koalicji na rzecz Poprawy Oceny Badań – *Coalition for Advancing Research Assessment (CoARA)*, której celem jest gruntowna i szeroka reforma procedury ewaluacji badań naukowych, odrzucenie punktozy i zastąpienie jej przez wieloaspektową ocenę merytoryczną<sup>4</sup>.

Jak oceniać czasopisma naukowe, by nie popaść w patologię punktozy? Mam następującą propozycję:

Po pierwsze, należy mierzyć obiektywne standardy techniczne wydawania czasopism, czego można dokonać poprzez wprowadzenie pewnej konwencjonalnej punktacji za stosowanie przez czasopismo DOI, ORCID i obecność czasopisma w Crossref, Scopus, WoS, DOAJ, MIAR, ICI etc. Po drugie, zakres tej punktacji powinien mieścić się w przedziale od 0 do 200 punktów, aby można było łatwo porównać wyniki takiej ewaluacji z punktacją ministerialną. Po trzecie, zasady takiej ewaluacji powinny być stabilne i w pełni transparentne w przeciwieństwie do aktualnych zasad ministerialnych. Po czwarte, redakcje ocenianych czasopism powinny potrafić samodzielnie wyznaczać punktację czasopism i mieć możliwość zgłaszania swoich zastrzeżeń odnośnie do przyznanej punktacji.

Pomysł ten został już wcielony w życie przez Pracownię Naukoznawstwa IHN PAN. Odsyłam do lektury artykułów na ten temat na przykładzie ewaluacji czasopism z historii nauki i polskich czasopism z historii w roku 2022 i 2023<sup>5</sup>.

MICHAŁ KOKOWSKI

Pracownia Naukoznawstwa IHN PAN

<sup>1</sup> Głoszę te tezy od wielu lat, zob. np. M. Kokowski 2014a; 2015a; 2015b; 2015c; 2015d; 2017.

<sup>2</sup> Przykładem może służyć historia nauki: w polskim systemie nauk to subdyscyplina historii, oceniana przez historyków, filozofów etc.

<sup>3</sup> Deklarację tę podpisało na świecie dotąd 21 370 osób, w tym i autor tego eseju, i 3 079 organizacji ze 165 krajów, w tym z Polski 13: m.in. Fundacja na rzecz Nauki Polskiej (prezes Zarządu prof. Maciej Żylicz), Narodowe Centrum Nauki oraz czasopismo *Studia Historiae Scientiarum* (redaktor naczelny: autor tego eseju).

<sup>4</sup> CoARA zrzesza aktualnie 661 instytucji, w tym 56 z Polski, takie jak: Fundacja na rzecz Nauki Polskiej (prezes Zarządu prof. Żylicz), Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Wyższych i Fundacja Rektorów Polskich – Instytut Społeczeństwa Wiedzy, 46 uniwersytetów (m.in. UW, UJ, UŁ, UMK, UAM, AGH, KUL), PAN, Akademia Młodych Uczonych PAN oraz 5 Instytutów PAN (Języka Polskiego, Genetyki Człowieka, Sławistyki, Rozwoju Wsi i Rolnictwa, Filozofii i Socjologii).

<sup>5</sup> Zob. M. Kokowski 2021–2023 (zasady punktacji i ewaluacja czasopism z historii nauki) i D. Kozłowska 2022–2023 (ewaluacja polskich czasopism z historii), odpowiednio DOI: 10.4467/2543702XSHS.21.024.14055; 10.4467/2543702XSHS.22.019.15985; 10.4467/2543702XSHS.23.018.17709; 10.4467/2543702XSHS.22.018.15984; 10.4467/2543702XSHS.23.019.17710.

# Archeologia wulkaniczna

Odkrywając świadectwa odległej przeszłości, archeolodzy szukają przyczyn sytuacji kryzysowych, których nie da się wyjaśnić procesami kulturowymi. Od pewnego czasu stosownych argumentów dostarcza wulkanologia. Badacze dawnych wybuchów podziemnej potęgi wskazują bowiem na rozległe skutki mega-erupcji, które gwałtownie zmieniały warunki życia, zmuszając naszych przodków do adaptacji do nowych wyzwań środowiskowych.

Niektóre wybuchy miały nawet skutki globalne, powodując zmiany obserwowane na wielu kontynentach. Koronnym przykładem jest wybuch sumatrańskiego wulkanu Toba sprzed około 75 000 lat, który spowodował długotrwałe oziębienie klimatu, skutkujące zredukowaniem światowej populacji *homo sapiens* do zaledwie dziesięciu tysięcy osobników. Globalne skutki spowodowała też seria megaerupcji z lat 534–539, które zachwiały wieloma kulturami w Ameryce, Azji i w Europie, gdzie przyczyniły się do „wypromowania” kultury wczesnoślawiańskiej.

Jest kraj, w którym aktywność wulkaniczna jest stałym czynnikiem środowiskowym. To Islandia, gdzie wybuchy o różnej skali występują średnio co 3–4 lata. 14 kwietnia 2010 r. pyły wyrzucone z podlodowcowego wulkanu Eyjafjallajökull wymusiły wstrzymanie komunikacji lotniczej niemal w całej Europie. Ostatnim epizodem w tej serii jest erupcja szczelinowa na półwyspie Reykjanes, która w grudniu 2023 r. wymusiła całkowitą ewakuację mieszkańców miasta Grindavik i zagroziła funkcjonowaniu lotniska Keflavik.

Nic dziwnego, że dla wulkanologów położona na styku dwóch płyt tektonicznych Islandia jest doskonałym laboratorium badawczym. Monitorują tam obecną sytuację, ale też szukają śladów erupcji historycznych, poddając analizom kopalne warstwy popiołów wulkanicznych. Ojcem tej dziedziny nauki (tefrochronologii) był więc oczywiście Islandczyk – dr Sigurdur Thorarinsson.

Wyniki ich pracy okazały się panaceum na kłopoty islandzkich archeologów, którzy mają notoryczne problemy ze sprecyzowaniem chronologii najstarszych ze swoich odkryć. Nie można zastosować tam najbardziej popularnych wskaźników, bo: brak odpowiednich glin uniemożliwiał produkcję powszechnej gdzieś indziej ceramiki, wykorzystywanie drewna wyrzucanego przez prądy oceaniczne podważa skuteczność radiowęglowego datowania ( $^{14}\text{C}$ ) drobin węgla drzewnych, a gospodarka przedrynkowa nie wymagała stosowania monet.

Cierpliwie budowany przez tefrologów katalog dobrze wydatowanych warstewek popiołów, które są geochemicznie specyficzne, nie tylko dla każdego wulkanu, ale też dla każdej erupcji, dostarczył nam niezwykle skutecznego narzędzia do określania chronologii znalezisk. Dzięki temu to, co było największą słabością islandzkiej archeologii, stało się jej największą siłą. Chyba nigdzie indziej na świecie nie ma bowiem tak precyzyjnego datownika, jakim są popioły wulkaniczne, których wiele ma nawet daty roczne.

Odkrycie w wykopie archeologicznym widocznej makroskopowo warstewki popiołu pozostawionego przez wielkie erupcje lub mikroskopowa identyfikacja drobin wulkanicznych pochodzących z wybuchów o mniejszej skali pozwalają dokładnie oddzielić znaleziska starsze od daty danej erupcji od tych, które zalegają nad poziomem zidentyfikowanej tefry. Datowanie „przed” wybuchem i „po” jakimś wybuchem dostarcza więc precyzyjnej informacji chronologicznej.

Najsłynniejsze tefry pochodzą z erupcji Vatnaöldur, wydanej na ok. 871 r., a więc rok po przybyciu na wyspę pierwszych osadników. Zanotowaną w sagach datę 870 r. traktowano z niedowierzaniem do czasu odkrycia w centrum stolicy pozostałości typowego długiego domu, przykrytych warstwą tego charakterystycznego popiołu, na której posadowiono kolejny dom, łączony z przybyłym tam w 874 r. norweskim wodzem Ingólfurem Arnarsonem, który adekwatnie nazwał to miejsce Reykjavik, czyli „dymiąca zatoka”.

Umiejętność rozpoznawania najważniejszych warstw wulkanicznych jest ważną częścią szkolenia archeologów islandzkich, którzy zawsze pobierają próbki warstw osadniczych do późniejszych analiz w laboratoriach tefrologicznych. Po jakimś czasie nawet profan spoza wyspy, który nie jest daltonistą, potrafi dostrzec te najbardziej charakterystyczne i dobrze widoczne warstewki popiołów. Ja też nauczyłem się rozpoznawać cztery najważniejsze dla badacza islandzkiego średniowiecza – te o jednoznacznie wyglądzie makroskopowym:

- czarny gruboziarnisty „piach” wyrzucony przez Hekłę w 860 r. jest bardzo przydatny, bo wiadomo, że głębiej nie ma po co kopać, gdyż żadnych śladów obecności człowieka tam nie ma;
- wspomniany już szaro-zielonkawy popiół z 871 r., który dla ogromnej większości wyspy wyznacza poziom tuż sprzed przybycia ludzi, nazwano „tefrą zasiedlenia” (*landnám tephra*);
- beżowa drobnoziarnista warstewka zdeponowana po erupcji Veidivötn w 939/940 r. zamyka okres największego napływu osadników z północy Wysp Brytyjskich i ze Skandynawii;
- ciemno-szare popioły z erupcji Bárðarbunga, które w 1477 r. przykryły całą wyspę warstwą o grubości 1–10 cm, nie pozostawiają wątpliwości, że nad nimi nie ma już znalezisk średniowiecznych.

Chyba nie zidentyfikowano dotąd erupcji, o której mówi opis chrystianizacji wyspy (*Kristni saga*), przeprowadzonej zgodną decyzją islandzkiego parlamentu (*Althing*) w 1000 r. Ale to tylko kwestia czasu i determinacji tefrologów, którzy pozwolili zbudować archeologom solidną chronologię tamtejszej historii kultury materialnej. Powoli rozszerzają swoje pole badawcze na Europę kontynentalną, znajdując tu mikroskopowe cząsteczki pochodzące z islandzkich wulkanów. Archeolodzy czekają tu z nadzieją na wyniki ich pracy.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Institut Archeologii i Etnologii PAN  
Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego

## PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU

PAUza Akademicka – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

**Rada Redakcyjna:** Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.  
**Redakcja:** Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

**Adres do korespondencji:** Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.